

J. H. Rosny.

# Podwójne życie Piotra de Givreuse.

(Z francuskiego tłumaczyła M. J. MIGOWA)

## Część pierwsza.

W pierwszej połowie września 1914 r. pod wieczór czterech sanitaryuszów z noszami przechodziło przez błonia Loup Rouge.

Zbliżał się zmierzch – groźny, straszliwy.

Piekło było w powietrzu i na ziemi.

Otchłań krwi i cierpienia zionęła grozą wśród zmroku. Pioruny, ręką ludzką miotane, grzmiały ponad pasmami wzgórz, wstrząsały drzewami aż do korzeni i skałami do ich najgłębszych pokładów.

Sanitaryusze wracali z ambulansu na pole mordu. Jeden z nich szepnął, ocierając pot z czoła:

– Wstrzymano ich.

– Posunęliśmy się naprzód! – odparł jego towarzysz.

Błonie przedstawiało okropny obraz. Krew tworzyła kałuże albo też krzepła wśród traw. Trupy leżały spokojne, nieruchome i posępne.

Nagle z pod splotu gałęzi wysunęła się ręka i dał się słyszeć słaby jęk.

– To jakiś ranny, którego nie zauważono – powiedział ten z sanitaryuszów, który przedtem mówił ostatni.

Zbliżył się do krzaka. Spojrzał na niego żołnierz w jakimś odrętwieniu pograżony.

Był to mężczyzna wysokiej postawy. Włosy jego przypominały barwę dojrzałych kłosów owsa, a wąsy podobne były kolorem do pszenicy.

Oczy miał wielkie szmaragdowe, policzki gładkie młodej dziewczyny i bardzo wysokie czoło.

Czarna krew zasychała na jego czaszce.

– Nie bój się kolego – rzekł do niego sanitaryusz – już jesteśmy.

Ranny nie odpowiedział. Żrenice zachodziły mu mgłą. Zdawał się usypiać.

– Nie dobry znak! – powiedział sanitaryusz – Hę, Karol, bierzemy go?

Ale Karol, naprowadzony przez jakiś ślad, kierował się ku kępie wysokich paproci.

– Drugi! – mruknął.

Wzrokiem obejmował jednocześnie człowieka, którego odnalazł kolega i tego drugiego pośród paproci.

Zmierzch poczynął dopiero zapadać, powietrze było przejrzyste.

Karol spoglądał na obu rannych. Po chwili zauważył:

– Zdaje się, że są do siebie bardzo podobni.

Potem dorzucił ze zdziwieniem:

– To coś niezwykłego. Prawdopodobnie są to bliźniacy. Chodźno tutaj, Henryku!

Rudy sanitaryusz zbliżył się po kolei do obydwu rannych i powiedział stanowczym tonem:

– Pomyłka wykluczona. To są bliźniacy!

Twarz drugiego rannego była wiernym odbiciem rysów pierwszego. I ten także miał krew zakrzepłą we włosach. Oczy, barwy szmaragdów, powlekała mgła. Żołnierz zdawał się usypiać.

– To rzadki wypadek! – rzekł Karol.

– Nie marudźmy – rzucił Henryk – czas nagli!

Henryk i Karol ułożyli pierwszego rannego na noszach, a tamci dwaj zajęli się drugim.

Mały ten oddział przeszedł błonie i skierował się przez park w Graintougle.

Widać było dwie wieże zamku, z których jedna runęła. Subtelny luk kaplicy wystrelił przosto w chmurę miedziano-czarną.

Dymiące mury waliły się. Wrony długim sznurkiem uciekały pośród dusznych obłoków. Coraz to nowe płomienie ogarniały gruzy.

Jeden ze sanitaryuszów, który był człowiekiem wykształconym, szepnął:

– Można by sądzić, że to wróciły czasy Filipa-Augusta.

Minęli zamek. Szpital prowizoryczny, wielka szopa i kilka baraków, ukazał się na skraju wsi.

Słychać było głuche jęki. Powietrze przepętnione było odorem ran i zapachem jodoformu.

Na progu pierwszego schronienia dla rannych jeden z posługaczy szpitalnych zagroził im drogę.

– Komplet!... Barak pęka poprostu z przepełnienia. Tam idźcie!... Szósty barak musi mieć jeszcze wolne łóżka.

W „szóstym” tłusty lekarz mył sobie ręce w miednicy. Długie płyty ciała zwisały mu z policzków.

– Oni chcą naszej śmierci! – krzyknął, spsstrzegłszy nowo przybyłych.

– To jest niezwykle wypadek! – zauważył łagodnie sanitaryusz, który nosił imię Aleksandra – Bliźniacy, panie doktorze.

– A cóż mnie to do licha ciężkiego obchodzi!

– Jednakowoż... To przecież rzadko zdarza się, aby dwóch ludzi tak podobnych do siebie znaleziono na polu bitwy.

Mrukliwy lekarz odwrócił wzrok i spojrzał na obu rannych żołnierzy, naprzód z rozlętnieniem, potem uważnie.

– Ależ oni są podobni do siebie jak dwa granaty tego samego kalibru! – zamruczał – Gdzieżście ich wynaleźli?

– Na błoniu... koło zamku Graintougle.

– Nie wiem, gdzie to jest.

– Jeden leżał o trzydzieści kroków od drugiego.

Doktor kolejno pochylił się nad obydwojma żołnierzami.

– Jest jednakowoż pewna różnica. Twarz jednego z daje się być trochę... odrobinę... bardziej wydłużona.

– Sądzi pan doktor? – rzekł Karol.

Zbliżyła się teraz kobieta wysoka i smukła w swoim białym płaszczu, podobna do oready.

Obserwowała przez chwilę obu rannych z zainteresowaniem, a potem zauważyła sennym głosem:

– Można by powiedzieć, że otrzymali tę samą ranę w głowę.

Lekarz rozgarnął, o ile się dało, włosy zlepięte czarną krwią i zamyślił się.

– To jest poprostu fantastyczne. Jak gdyby dwa jednakowe odłamki granatu uderzyły w to samo miejsce.

Zapanowała chwila milczenia. Doktor zdawał się być z czegoś niezadowolony.

Sanitaryusze spoglądali po sobie, a kobieta złożyła gestem modlitewnym dłonie:

– Nie, to nie jest naturalne! – westchnął wreszcie sanitaryusz Aleksander.

– Wszystko jest naturalne! – rzucił lekarz z wyraźnym zniecierpliwieniem – Chodźmy, trzeba ich umieścić!

Były jeszcze tylko dwa wolne łóżka. Jedno tuż przy wejściu, drugie w głębi baraku.

Zdjęto odzież zwierchnię z rannych, przy czym ani jeden ani drugi nie ocucił się z tego dziwnego stanu półomdlenia.

– On jest także ranny w łydke – zauważyła kobieta o postawie i ruchach oready.

Zajęła się tym, którego umieszczono koło drzwi. Delikatnie i starannie obmyła mu twarz ciepłą wodą.

W głębi sali doktor Herbelle badał drugiego rannego.

Skonstatował, że uszkodzenie czaszki jest raną dość poważną. Oprócz tego kula przeszła łydke w odległości siedmiu lub najwyżej ośmiu centymetrów od kolana.

– Ta odrętwiałość – monologował Herbelle – nie wydaje mi się, aby była spowodowana przez rany. Prawda, że wybuch... Wojna płodna będzie w choroby nerwów.

Wydał polecenia co do opatrunku i odszedł do tamtego.

– Nic więcej prócz rany w głowie? – zapytał.

– Kula przeszła także przez lewą łydke – odparł jeden z młodszych lekarzy.

– Przez lewą łydke!... – wykrzyknął stropiony Herbelle.

– Tak. Może siedm, może ośmiem centymetrów od kolana.

– To niemożliwe!

– Dlaczego? – zapytał mimowoli młody lekarz.

– Dlatego, że i tamten drugi ma ranę w łydce od kuli.

Oczy naczelnego lekarza wyrażały jakieś przerażenie. Pochylony nad żołnierzem, szeptał:

– To jest ta sama rana... Ta sama...

– Tak jak tamta na głowie – westchnęła pielęgniarka.

Mężczyzna i kobieta nie śmieli sobie spojrzeć w oczy. Ogarniało ich tchnienie czegoś

nadprzyrodzonego. Buntował się przeciw temu trzęsły umysł lekarza, chyliła się nisko wysmukła postać pielęgniarki.

– My śnimy!... – szepnął Herbelle, a usta jego zacięły się wyrazem buntu.

– Nie, mamy przed sobą rzeczywistość wyższą – twierdziła kobieta.

– Gdyby się przynajmniej ocucili – powiedział naiwnie naczelnik lekarz – wówczas moglibyśmy się dowiedzieć...

– A ich legitymacye?

– Istotnie!...

W trzy minuty potem Herbelle trzymał w ręce i porównywał dwie książeczki wojskowe. Podobne były do wszystkich innych, a jednak napełniały przestraszeniem serca dwóch lekarzy i pielęgniarki.

Te książeczki nie różniły się niczem i były identyczne!...

Każda z nich opiewała na imię Edwarda Henryka Piotra de Givreuse, urodzonego w Avranches 17. marca 1889. r. Każda z nich zawierała uwagę, że właściciel tego dokumentu ma 1 m. 74 cm. wysokości i należy do kompanii \*\* pułku piechoty Nr. \*\*.

– To jest ta sama książeczka! – skonstatował Herbelle.

– Ależ żadna władza nie zgodziłaby się na to, aby wystawić dwom różnym ludziom dwie jednakowe legitymacye – zauważył młodszy lekarz.

– Pod warunkiem, że ta władza nie została wprowadzoną w błąd – zauważył Herbelle głosem, w którym pobrzękiwała nuta zdenerwowania.

Gorączkowo przewracał kartki, szukając jakiegokolwiek różnicy. I nie mógł znaleźć żadnej.

Obydwa dokumenty miały na okładce tę samą malutką plamkę atramentową.

– Ale co to właściwie ma znaczyć? – jęknął Herbelle, ściskając skronie pięściami. – Jakiegoż to nadprzyrodzonego złudzenia ofiarami jesteśmy?

– Więc pan przypuszczasz jednak, że to coś nadprzyrodzonego? – zapytała pielęgniarka.

– E, nie, niczego nie przypuszczam... Nic nie wiem... Ja chyba jestem zahipnotyzowany.

Teraz z kolei młodszy lekarz badał książeczki.

– Papier jest mocno „sfatygowany” – mruknął – te kartki ledwie się trzymają.

– A!... – wykrzyknął Herbelle – więc jedna zdaje się być starszą od drugiej?

– Nie. Obydwie są równie zmięte.

– Gdyby to przynajmniej były sfalszowane, toby mi ulżyło...

Pielęgniarka zadała pytanie:

– Czyż niema tutaj ludzi tego samego pułku?

– W tym baraku nie, ale zapewne obok...

W tej chwili ranny otworzył oczy. Rzucił mętnym wzrokiem po tych, którzy otaczali jego łóżko.

Potem z ust wydobyła się cicha skarga:

– Pić... pić...

Pielęgniarka podtrzymała mu głowę i napoiła go.

Pił z początku chciwie, potem z leniwą powolnością.

Zwolna spojrzenie jego stawało się jaśniejszym, przytomniejszym. Wreszcie zapytał:

– Czy jestem ranny?

Lekarz i pielęgniarka wpili w niego oszalałe spojrzenia.

– Tak, jesteś pan ranny.

– A!...

Zdawało się, że się zadumał. Wargi jego poruszyły się lekko i nieznacznie prawie drgały powieki.

Wreszcie słabym głosem wyszeptał:

– Przypominam sobie... Upadłem w lesie...

– Na błoniu... – poprawił lekarz.

– Na błoniu?... Nie... W lesie... Na skraju lasu... Cofaliśmy się... Odłamek granatu uderzył mnie w głowę... Ale siedłem jeszcze... tak zdaje mi się, że się jeszcze włokłem... a potem...

Głęboka zmarszczka zarysowała się między brwiami.

– A potem... co to się ze mną działo... dokąd doszedłem... nie wiem... nie pamiętam, co było dalej...

Głos żołnierza stawał się coraz słabszy; żrenice znowu powlekały się mgłą.

– Pan się nazywasz Piotr de Givreuse – zaczął pospiesznie doktor – urodziłeś się pan w Avranches w r. 1889?

– Tak jest... Nazywam się Piotr de Givreuse.

(Ciąg dalszy nastąpi.)